

– I –

Urodziłem się w Warszawie 24 sierpnia 1927 roku. Wyraźnych obrazów z dzieciństwa w pamięci mam właściwie bardzo mało. Mieszkanie przy ulicy Wilczej – z pokojem dziennym wyposażonym w aneks kuchenny i rodzaj dużej alkowy, która służyła Zosi, mojej starszej o dwa lata siostrze, oraz mnie, zarówno jako sypialnia, jak i pokój zabaw, z wszystkimi naszymi skarbami – było w rzeczywistości mieszkaniem dozorczyńni, której funkcję sprawowała moja matka Ludwika¹. Mój ojciec Władysław² pracował jako robotnik w państwowej drukarni.

Nie było im łatwo przystosować się do życia w mieście po opuszczeniu, ze względu na trudną sytuację, rodzinnego gospodarstwa w Drwalewie, wsi położonej w regionie radomskim, oddalonej około 80 kilometrów od Warszawy³. Po śmierci mojej babki mój dziadek Antoni ponownie szybko się ożenił (jak to było w zwyczaju w tym czasie na wsi). W rodzinie pojawiły się inne dzieci i mój ojciec, najstarszy, poczuł, że jest mu w domu za ciasno. Sytuacja skomplikowała się dodatkowo, kiedy ożenił się z moją matką Ludwiką, najstarszą z czworga osieroconego rodzeństwa (piąte zmarło bardzo wcześnie). Jej matka była nieślubnym dzieckiem powierzonym zakonnikom – z nazwiskiem von Roesler i koroną barona wyhaftowaną na jej dziecięcym ubranku⁴. Okoliczność ta nie przeszkodziła babce w małżeństwie

¹ Ludwika Uszyńska z Wasilewskich (ur. w 1906 w Drwalewie – zm. w 1972 w Warszawie), córka Franciszka Wasilewskiego i Józefy z domu Roesler (Rezler), matka autora.

² Władysław Uszyński (ur. w 1896 w Drwalewie – zm. w 1968 w Warszawie), syn Antoniego Uszyńskiego i Józefy z domu Kalbarczyk, ojciec autora.

³ W rzeczywistości Drwalew, wieś w województwie Mazowieckim, w powiecie grójckim, w gminie Chynów, oddalony jest od Warszawy niecałe 60 km.

⁴ Józefa Wasilewska z domu Roesler (Rezler), ur. ok. 1885 r., wzięta na wychowanie prawdopodobnie z Domu Wychowawczego ks. Boduena w Warszawie przez małżeństwo Sikorów z Drwalewa, zmarła ok. 1920 r. na grypę „hiszpankę”.

z nauczycielem, sekretarzem gminy, osobistością jakże wtedy ważną, którego nazwisko Wasilewski⁵ wskazywało na pochodzenie z dużej rodziny, pełniącej w odległej przeszłości ważne funkcje przy wielkim księciu litewskim. Znamienita rodzina nauczyciela, żywotna i na pewno atrakcyjna, ale nie za bogata, pogrążyła się w smutku po śmierci mojej babki, po której wkrótce nastąpiła śmierć jej męża. Poślubiając Ludwikę ojciec mój znalazł się *de facto* z trójką dzieci na utrzymaniu.

Nie opuszczał Drwalewa i swojej ziemi z lekkim sercem, jednak próba znalezienia pracy w Warszawie była jedynym rozwiązaniem. Czasy były trudne, ale pogodne usposobienie mojej matki i zapał do pracy mojego ojca sprawiły, że niczego zasadniczo nam nie brakowało, a atmosfera w domu była ciepła i wesoła. Matka nie przepuszczała żadnej okazji, żeby wyciągnąć mojego ojca – starszego od niej o dziesięć lat – na bale, spotkania, „wyjścia” wszelkiego rodzaju, a ja do teraz pamiętam ich powroty nad ranem, i to, że zawsze przynosili mi balonik, karnawałowy kapelusz lub coś dobrego do jedzenia. Niepowstrzymane wybuchy śmiechu towarzyszyły też często rodzinnym posiłkom w niedziele i święta, spożywanym najpierw w siedmioro, a następnie – z przyjaciółmi – w dziesięcioro lub dwanaścioro, mimo tych czy innych problemów, jakie każdy miewał.

Mój ojciec, raczej małomówny z natury, lubił uczestniczyć w tych ożywionych spotkaniach, gdzie każdy miał coś do powiedzenia. Jego autorytet nigdy nie był kwestionowany, tym bardziej że rzadko się na niego powoływał.

Wuj Stanisław⁶, blondyn, choć moja matka była brunetką, raczej intelektualista, był dwa lata młodszy od mojej matki; to on nauczył mnie grać w brydża, według prostych zasad i gotowych do użycia zwrotów, a nie według konwencji (licytacyjnych), których nie znał; następnie Helena⁷, również blondynka, bardzo piękna dziewczyna (znacznie później brała udział w konkursie Miss Polski) i ostatni Stefan⁸, znów brunet, wysoki jak na swój wiek, bardzo szczupły, wysportowany i bardzo towarzyski. Dwoje małych dzieci dopełniało ten rodzinny obraz: Zosia⁹, nieduża, pulchna,

⁵ Franciszek Wasilewski, mąż Józefy z Roeslerów (Rezler), ur. ok. 1880 r., uczestnik I wojny światowej.

⁶ Stanisław Wasilewski (ur. w 1908 r. w Drwalewie – zm. w 1991 r. w Warszawie), inż. elektryk, w 1943 r. poślubił Lucynę Kosiacką; po wojnie, w l. 60. pracował przy budowie przemysłowego miasta Darchan w Mongolii.

⁷ Helena z Wasilewskich Michalakowa (ur. w 1910 r. w Drwalewie – zm. w 1965 r. w Warszawie), w 1934 r. poślubiła Władysława Michalaka, funkcjonariusza policji, siostra Ludwiki Uszyńskiej.

⁸ Stefan Wasilewski (ur. ok. 1913 r. w Drwalewie – zm. w 1944 r. w Warszawie), najmłodszy brat Ludwiki Uszyńskiej, żołnierz AK, zginął w Powstaniu Warszawskim, prawdopodobnie w pierwszych dniach, w walkach na Woli.

⁹ Zofia z Uszyńskich Tracz (ur. 12.05.1925 r. w Warszawie – zm. 5.12.1985 r. w Warszawie), córka Władysława Uszyńskiego i Ludwiki z Wasilewskich, w 1951 r. poślubiła inż.

o prostych jasnobrązowych włosach, bardzo cicha i spokojna, spędzająca większość czasu w swoim kącie, ale w sumie zadowolona ze swojego losu, i ja, szczupły i wysoki jak na mój wiek, o kręconych włosach blond, stopniowo ciemniejących, śmiejący się nieustannie i nie mogący usiedzieć na miejscu.

Całą tą malowniczą grupą, twardo, ale z uśmiechem i miłością, dyrygowała moja żywiołowa i wygadana matka, zawsze wesoła, zawsze mająca dla każdego dobrą radę, promieniująca optymizmem na całą dzielnicę. Jej usposobienie kompensowało powagę i dystans mojego ojca, który z kolei dawał przykład swoją ciężką pracą, odpornością na ciosy losu i inne kaprysy życia. To matka zbierała wokół siebie rodzinę i przyjaciół na wszystkie rodzinne i religijne święta; zasada ich obchodzenia została przyjęta przez wszystkich i nikomu nie przyszłoby do głowy nie uczestniczyć w tych spotkaniach, niezwykłych zarówno pod względem atmosfery, jak i podawanych potraw.

Długo zajęło mi zrozumienie, dlaczego w Wigilię, w momencie przyścia Świętego Mikołaja, zawsze któryś z członków rodziny się spóźniał i trzeba mu było wówczas opowiadać, co się wydarzyło. Boże Narodzenie z przeszłości to był cud pasterki w Kościele Świętego Zbawiciela (tym, w którym byłem chrzczony), w której uczestniczyliśmy po wędrówce często w wysokich zaspach śniegu, na mrozie, pod migocącym gwiazdami niebem. Niezliczone kolędy znane na pamięć przez dzieci i dorosłych towarzyszyły nam przez cały okres Świąt, począwszy od wspaniałości śpiewanych przez chóry kościelne podczas pasterki, aż po niezdarne trele małych przyszłych wokalistów.

Oczywiście to ja byłem odpowiedzialny za znalezienie pierwszej gwiazdki na niebie, abyśmy mogli usiąść przy wigilijnym stole. Postny posiłek był szczególnie interesujący dla nas, dzieci, z uwagi na możliwość próbowania deserów przygotowanych na Święta, w tym tradycyjnego sernika (ciasto z serem) i makowca (zrolowane ciasto z masą makową). Jeszcze wcześniej pojawiała się w domu choinka. Ustawianie jej i solidnie umocowanie przez mojego ojca, a później dekorowanie przez dorosłych – wszystko na naszych oczach, okrągłych jak spodki – wprowadzało nas w nastrój Świąt.

Podczas uroczystego obiadu w dzień Bożego Narodzenia, na stole, w przeciwieństwie do tradycyjnego francuskiego indyka, królowała okazała potrawka z zająca, ważącego dobre dziesięć kilogramów. Ale to nie wtedy, a przed wieczerzą wigilijną, miała miejsce tradycja dzielenia się chlebem w formie opłatka, po kolei ze wszystkimi uczestnikami, parami, z wymianą

architekta Stanisława Tracza. Ukończyła Wydział Farmacji Akademii Medycznej w Warszawie, długoletni pracownik apteki Państwowego Szpitala Klinicznego im. Dzieciątka Jezus w Warszawie, siostra autora.

żyć i uścisków. Moment tym bardziej uroczysty, iż spotykaliśmy się wtedy nie tylko z członkami najbliższej rodziny, ale także z tymi, których straciliśmy z oczu na krócej lub dłużej (np. z przyjaciółmi przyjaciół). Mniej uroczyste, za to bardziej wesołe jest dzielenie się ciastkami jajka na twardo przed posiłkiem wielkanocnym – choć mniej podniosły, zwyczaj ten również robi duże wrażenie i jest bardzo wyczekiwany przez małe dzieci.

Co jeszcze zapamiętałem z tego przedwojennego okresu? Galerię zaskakujących portretów: stara panna, drobna, ciemna brunetka, nasza pomoc domowa, świadcząca, zwłaszcza matce, drobne usługi, która zwykle, ku uciechu uczestników wspólnych posiłków, wydawała spłoszone okrzyki, kiedy tylko mój ojciec podchodził trochę za blisko, ale bardzo doceniała naszą rodzinną atmosferę; kolega i przyjaciel Stefana, Franciszek – chudy i smutny rudzielec, który jako jedyny ocalał z jakiejś niewiadomej tragedii na wschodzie Litwy i który przywiązał się do Stefana i do nas wszystkich, tak jak tonący chwytając się koła ratunkowego; wreszcie wysoka i piękna brunetka, zakochana w Stefanie, która również należała do grona stałych bywalców domu.

Z tego okresu pochodzi także jedyny poważny wypadek mojego dzieciństwa. Bawiąc się na podwórku naszej kamienicy w polewanie bruku wodą z butelki, którą starannie napełniałem z kranu nad zlewem, przewróciłem się na rzezoną butelkę i odłamek szła utknął mi w prawym łuku brwiowym (butelki plastikowe jeszcze nie istniały!). Krwawiąc obficie i wykorzystując panikę rodziny, która obawiała się o stan mojego oka, zażądałem, abyśmy pojechali do szpitala taksówką. Mógłbym wtedy poprosić nawet o księżyc! Odłamek zatrzymał się o dwa milimetry od oka, a kilka godzin później, także taksówką, byłem już z powrotem w domu, z kilkoma szwami i z blizną na całe życie.

Nieco później, będąc wysoki i chudy jak na swój wiek, a także dość wątły, w pełni zimy złapałem obustronne zapalenie płuc. Moja rekonwalescencja trwała długo. Dla lepszych jej efektów, wyjechaliśmy z matką do Chojnowa¹⁰, miejscowości położonej w pobliżu Zalesia¹¹. Tam, wśród sosnowych lasów, moi rodzice kupili już wcześniej dwie działki, na które jeździliśmy zawsze na wakacje oraz przy każdej okazji, gdy była dobra pogoda.

Z tego okresu przychodzi mi na myśl szczególnie silne wspomnienie. Mój ojciec nie był myśliwym, nie lubił też łowić ryb, ale za to był niestrudzo-

¹⁰ Chojnów – wieś i siedziba nadleśnictwa w woj. mazowieckim, w pow. piaseczyńskim, w gminie Piaseczno, położona w Lasach Chojnowskich.

¹¹ Zalesie Górne – miejscowość letniskowa w woj. mazowieckim, w pow. piaseczyńskim, w gminie Piaseczno, położona w Chojnowskim Parku Krajobrazowym; założona w 1930 r. przez Jana Witolda Wiślickiego jako miasto-ogród, w wyniku parcelacji terenów leśnych należących do Tadeusza Zawadzkiego (właściciela Wólki Kozodawskiej) i Władysława Symborskiego (właściciela Ustanowa).

nym zbieraczem i znawcą grzybów. Na początku zadowalałem się podziwianiem rezultatów jego grzybobrania, po obudzeniu się, często dość późnym. Lecz kiedy tylko moje małe nogi zaczęły mnie lepiej „nosić”, otrzymałem pozwolenie towarzyszenia mu w porannych wyprawach.

Co to było za szczęście, gdy według jego wskazówek odkryłem pod sosną kolonię borowików lub wspaniałą rodzinę kurek, złocących się w zupełnie nieprzewidywalnym dla mnie miejscu. Satysfakcja z własnoręcznie znalezionej grzyba nappełniała mnie bezgraniczną radością. Dorastając, pogłębiałem moje umiejętności w tej dziedzinie i zachowałem je przez całe życie.

W Zalesiu, gdy było ciepło, rozbijaliśmy namiot koło powstającego domu, który ojciec i jego przyjaciele zaczęli budować na działce. Nie nadawał się on jednak na rekonwalescencję w pełni zimy, więc tym razem moi rodzice wypatrzyli w okolicy duży, ciepły i wygodny dom drewniany. Dzięki temu doszło do kilku niecodziennych spotkań rodzinnych, w których uczestniczyłem, siedząc dobrze opatulony w fotelu na werandzie. Jeszcze dziś czuję tamten zapach sosnowego lasu – intensywny, nawet mimo jednometrowej warstwy śniegu.

Choć nie jest to chronologicznie, gdyż wydarzenie pochodzi z mojego najwcześniejszego dzieciństwa, trzeba, żebym o nim wspomniał, tak jak mi o nim opowiedziano, znacznie później. Stefanowi często powierzano wychodzenie ze mną – jeszcze w wózku – na spacer, gdyż podobno byłem grzeczny w jego towarzystwie. Tym razem, jak zwykle, udał się do pobliskich ogrodów Politechniki. Nie zatrzymał się jednak, lecz z impetem wjechał na teren sportowy (boisko do piłki nożnej) wspomnianej szkoły. Podobno uwielbiałem być wożony z dużą prędkością, przy obopólnej zgodzie. Także tym razem Stefan zostawił wózek ze mną na brzegu boiska, a sam dołączył do grupy kolegów. Nie przeszkadzało mi to, gdyż spałem smacznie na słońcu. Nagle przypadkowy niefortunny strzał piłką trafił w wózek i opróżnił go z całej zawartości, mnie wyrzuciwszy jako pierwszego! Koledzy podnieśli kocyk, pieluszkę, butelkę itp., podczas gdy Stefan próbował mnie przekonać, żebym się nie bał. Wygląda na to, że mu się udało, ponieważ później przez kilka miesięcy to były moje ulubione słowa: „nie bój się”. Oczywiście, incydent został ujawniony moim rodzicom znacznie później, a Stefan pozostał dla mnie jak starszy brat, zawsze chętny do pomocy, wyrozumiały i opiekuńczy.

Kolejna niezwykła pod wieloma względami postać pojawiła się w kręgu mojej rodziny, kiedy miałem sześć-siedem lat. Do naszej dzielnicy wprowadził się biały generał rosyjski, samotny i klepiący biedę, mimo wyjątkowej erudycji we wszystkich dziedzinach godnych dobrze wychowanego człowieka: nie tylko filozofii, co oczywiste, ale także matematyki, astronomii, astrologii, fizyki, chemii i geologii. Dla mnie on wiedział wszystko! Bujne włosy i gęsta biała broda – prawdziwy Święty Mikołaj na co dzień, o cier-

pliwości wystawianej na próbę licznymi pytaniami, które zadawałem sobie i wszystkim wokół mnie bez przerwy. Byłem w okresie nienasyconej ciekawości dotyczącej wszystkiego. Prawdziwa zmora. A skoro ciągle byłem odsyłany przez najbliższych (z powodu braku czasu, ale także niewystarczającej wiedzy), przyssałem się jak pijawka do starego generała.

To był wspaniały czas nie tylko dlatego, że generał przepowiedział mi bardzo długie życie, urozmaicone, lecz szczęśliwe, ale również dlatego, że każda jego nauka poszerzała mi horyzonty i otwierała mnie na cuda natury, nieba i na skarby myśli. Poza godzinami, kiedy byłem w szkole i tymi, podczas których generał dawał lekcje z różnych przedmiotów, żeby zarobić na życie, byliśmy prawie nierozłączni, do tego stopnia, że w końcu zyskał swoje nakrycie u nas podczas kolacji. Nigdy nie miałem poczucia, że jestem w obecności nauczyciela. Na moje pytania odpowiadał, stawiając inne pytania, które zmuszały mnie do myślenia, i często pomagał mi znaleźć odpowiedź samodzielnie. Miał też dar snucia opowieści, które, jak gdyby nigdy nic, dotyczyły poważnych problemów, z gracją i lekkością. A już na pewno, niezauważalnie dla mnie, zaraził mnie wirusem filatelistyki, ucząc mnie przez to geografii i historii krajów, z których przynosił mi znaczki. To „zarażanie” kontynuował poprzez pokazanie mi metody chronologicznej klasyfikacji, co dało początek kolekcji i przyniosło radość z polowania na znaczki. A jeśli nawet nie był to wirus filatelistyki, to na pewno był to wirus kolekcjonerstwa. Począwszy od kulek, pudełek od zapalek, obrazków różnego rodzaju, znajdujących w opakowaniach herbatników, tabliczek czekolady i tym podobnych rzeczy, ukazujących zarówno motyle, piłkarzy, jak i stolice świata, wszystko było warte kolekcjonowania. Znacznie później były to etykiety dobrych win, figurki królów znalezione w cieście (*galette des rois*) i korki od szampana. Wirus generała jest wciąż obecny...

Po każdym powrocie z wakacji (a więc po okresie rozłąki) powitania ze starym generałem były gorące. Jestem pewien, że pokazywanie mi sposobów odkrywania świata sprawiało mu przyjemność, tym bardziej że bardzo pesymistycznie zapatrywał się na przyszłość w ogóle, a swoją własną w szczególności. Być może byłem jego jedyną rozrywką. Zniknął nagle z Warszawy około lat 1937–1938. Wiedziałem, że był to wyjazd dobrowolny i przygotowany, gdyż jego małe mieszkanie zostało starannie opróżnione z niezliczonych książek i dokumentów: dowód zaplanowanej przeprowadzki. Pozostawił mi niezachwianą wiarę w moją szczęśliwą gwiazdę, opartą na interpretacji linii dłoni: życia i losu. Nie byłem jeszcze wystarczająco dojrzały, aby zrozumieć cokolwiek z mojego horoskopu, który stworzył i uzupełnił po wielu rozmowach o mnie z moją matką. Horoskop ten wyraźnie potwierdził optymistyczne przewidywania, oparte na liniach mojej dłoni.

Z perspektywy czasu i po jego pośpiesznym wyjeździe, często zadawałem sobie pytanie, dlaczego po takiej precyzyjnie wykonanej pracy i bada-

niach, nie zostawił mi horoskopu na piśmie z adnotacjami ani w ogóle żadnej notatki napisanej swoją ręką z informacjami z jakiegokolwiek dziedziny. A przecież dobrze pamiętam karteczki wsuwane do książek, które mi pożyczał. Tajemnica....

Będąc wysokim, ale raczej delikatnego zdrowia (podwójne zapalenie płuc w 1935 roku), to dzięki temu wszystkiemu, czego nauczyłem się od generała, zdobyłem autorytet wśród moich kolegów z harcerstwa: on wiedział lepiej od drużynowych, jak opracować plan, rozpaść ognisko, znaleźć północ za dnia i w nocy (cenne w zajęciach na orientację), posłać łóżko, wypolerować buty, obrać warzywa itp. Nie sposób po tym się dziwić, że moja matka doceniała ten rodzaj nauki! Przed wojną wziąłem udział w dwóch obozach harcerskich: latem 1937 roku nad Niemnem niedaleko Wilna, w ogromnym lesie na Litwie (wtedy należącej do Polski) i latem 1938 roku w polskim odpowiedniku Masywu Centralnego, z odkrywaniem niewysokich gór, geologii i wpływów tratwami. Myślę, że te obozy przyczyniły się do zmiany słabeusza w silnego i odpornego chłopaka i przygotowały mnie na późniejsze, wojenne koleje losu.

Inne powracające wspomnienia: pobyt rekonwalescencyjny po zapaleniu płuc w Chojnowie – dwa miesiące sam z matką, w sosnowym lesie, pokrytym jednometrową warstwą śniegu. Co za szczęście! W każdą niedzielę ktoś nas odwiedzał, czasem w większym gronie, przynosząc dobre rzeczy dla małych i dużych, co wystarczało do głośnego świętowania.

Kolejny pobyt w tym samym miejscu odbył się latem 1936 roku – roku igrzysk olimpijskich w Berlinie. Być może pierwszych, w których Polska uczestniczyła¹², i które były powodem do organizowania różnych imprez sportowych w kręgu rodziny i przyjaciół. W czasie tych wakacji, po moich dotychczasowych aktywnościach miejskich (łyżwiarstwo, pływanie i czytanie) odkryłem szeroko rozumianą lekkoatletykę: biegi, skok wzwyż, rzut oszczepem, łucznictwo i siatkówkę. Ogólnie rzecz biorąc czułem się nawet dość pewnie w tych dyscyplinach. Być może było jeszcze ważniejsze to, że wszystko odbywało się w atmosferze serdecznej i szczerzej zabawy od rana do wieczora. Myślę, że wtedy zacząłem być duszą towarzystwa, osobą często żartującą i zawsze w dobrym humorze. Czy to była reakcja na niedomagania fizyczne? W przeciwieństwie do Zosi, zawsze poważnej, zamyślanej i mało rozmownej, ja miałem zwykle na podorędziu jakieś zabawne słowo, żarcik, dowcip. Wybuchalem też często zaraźliwym śmiechem. Z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że jest to atut. Należy również zauważyć, że sytuacja finansowa rodziny wyraźnie się poprawiła – po trudnych począt-

¹² XI Letnie Igrzyska Olimpijskie, które odbyły się w dniach 1–16 sierpnia 1936 r. w Berlinie, były czwartymi igrzyskami dla Polski; po raz pierwszy Polska wzięła udział w VIII Letnich Igrzyskach Olimpijskich w Paryżu w 1924 r.

kach na ulicy Wilczej, dokąd moi rodzice przeprowadzili się ze wsi, bez żadnego wykształcenia, znajomości, „wprowadzenia”, z trójką młodych ludzi na utrzymaniu (Stanisław, Stefan i Helena – bracia i siostra mojej matki), i gdzie klepali biedę. Matka objęła wówczas posadę dozorczyńi budynku, oferującą jednocześnie zakwaterowanie. Mój ojciec, trochę przez przypadek, został robotnikiem – składaczem w Drukarni Narodowej, z uwagi na swoją siłę i wytrzymałość, niezbędne do noszenia skrzynek z ołowianymi literami, co wykańczało każdego terminatora.

Według moich wyliczeń przyjazd rodziców do Warszawy przypadł na rok 1923 lub 1924. Zosia urodziła się w 1925 roku, a ja w 1927. Być może kryzys z 1929, który w Polsce pojawił się w latach 1930–1931, i który był przyczyną zwolnienia mojego ojca, spowodował odważne podjęcie się przez moich rodziców zadania dozoru wielkiej nieruchomości przy ulicy Nowy Świat, składającej się z trzech budynków oddzielonych podwórkami. Była to oczywiście absorbująca praca, dodatkowo wymagająca całodobowej obecności. Mieszkanie było jednak bardziej komfortowe, a płaca jeszcze bardziej. Poza pensją, rodzice otrzymywali napiwki za przynoszenie posiłków do lokatorów, będących z reguły ludźmi dość bogatymi. Dla nas, dzieci, oznaczało to więcej rozrywek, więcej wyjść i wakacji, jednak bez rozrzutności, zachcianek czy niepotrzebnych wydatków. Myślę, że ten sposób życia pozostał ze mną na zawsze.

Z tego okresu pochodzi także moje świadome opowiedzenie się za religią katolicką. Mieszkaliśmy w pobliżu Kościoła Świętego Krzyża (w jednym z jego filarów zostało umieszczone serce Chopina), w którym kolejno byłem ministrantem, chodziłem na lekcje religii, następnie przystąpiłem do pierwszej komunii świętej i bierzmowania, dokonanego przez arcybiskupa warszawskiego¹³, prawdopodobnie przy okazji ważnego święta religijnego.

Znajdujący się przed wejściem do kościoła posąg Chrystusa niosącego ogromny krzyż przez długi czas był obecny w mojej pamięci. Przystąpienie do harcerstwa przyszło po tym w sposób naturalny.

Dość szybko (mniej więcej w latach 1934–1935) mój ojciec był w stanie kupić dwie działki leśne w Zalesiu, obecnie miejscowości rezydencjalnej zamieszkałej przez warszawiaków, na linii kolei parowej jadącej z Warszawy do Radomia, odległej 35 lub 40 kilometrów od Warszawy. Z zapalem zabrał się za karczowanie pierwszej działki i w każdej wolnej chwili budował szopę – tymczasowe schronienie, w czym odnajdował się jako chłop umiejący wszystko zrobić. Moja matka miała ogród warzywny, a my, dzieci – raj na ziemi. Zalesie szybko stało się i na zawsze pozostało miejscem rodzinnych spotkań, bez zobowiązań i protokołu, każdy przychodził z przyjaciółmi

¹³ Arcybiskupem metropolitą warszawskim był w tym czasie, tj. w latach 1913–1938, książdz kardynał Aleksander Kakowski.

i przyjaciółmi przyjaciół, przynosząc to, co miał, lub tylko swój dobry humor, jeśli nie miał nic.

W latach 1935–1936 moi rodzice wykonali nowy ważny krok. Korzystając z okazji (odejście właściciela na emeryturę), kupili sklep mieszczący się przy ulicy Pięknej (wtedy noszącej nazwę Piusa XI), w ich dawnej dzielnicy, zaledwie kilka kroków od Politechniki i ulicy Wilczej.

To był handel jak za dawnych lat: drogeria, materiały piśmiennicze, perfumy, pasmanteria. Zrezygnowali ze stabilnego i rentownego, choć zniewalającego i często uciążliwego zatrudnienia, dla realizacji swoich marzeń o niezależności, niepewnych, a nawet ryzykownych, które pochłonęły wszystkie ich oszczędności. Jednakże moja matka czuła się świetnie w sklepie i wkrótce była w dobrych stosunkach z wszystkimi w okolicy. Ojciec zajmował się zaopatrzeniem i dostawami, a w dni, kiedy sklep był zamknięty, wracał do swojego Zalesia. Za sklepem znajdowały się duży pokój mieszkalny i małe mieszkanie na pierwszym piętrze.

Właśnie zdałem sobie sprawę, że poza wzmianką o jej istnieniu (siostra starsza o dwa lata), nie opowiadałem o Zosi, dyskretnej, cichej, prawie chorobliwie nieśmiałej. Jej stałą troską było to, żeby nie dać się zauważyć, bez względu na okoliczności, do tego stopnia, że natychmiast oddalała się ode mnie, gdy zaczynałem, niezależnie od przyczyny, zachowywać się głośniejszemu w miejscu publicznym: śmiać się, opowiadać dowcipy czy żywiej dyskutować. Mniejsza i trochę pulchna, fizycznie i psychicznie wdała się w ojca, podczas gdy ja, z wyjątkiem wzrostu, odziedziczyłem po matce jej witalność, dobry humor i naturalny optymizm, a także ostry język. Nie mieliśmy wielu wspólnych zainteresowań, ale doceniałem jej solidność i powagę, tak jak ona, jak sądzę, doceniała możliwość uczestniczenia w różnego rodzaju imprezach, które organizowałem dla moich przyjaciół.

Nasza duża rodzina w tym czasie zmieniała się znacząco. Stanisław, całkowicie niezależny, dość często był nieobecny z uwagi na swój zawód (inżynier w obszarze robót publicznych).

Helena wyszła za mąż za Władysława Michalaka, przystojnego, dużego i solidnego chłopca, funkcjonariusza policji, który od razu został przyjęty przez rodzinę z powodu swojej prostoty i temperamentu typu „siła spokoju”. Mieli syna jedynaka Daniela (Danka)¹⁴. Oczywiście cała trójka stała się stałymi bywalcami Zalesia i uczestniczyła we wszystkich świętach rodzinnych. Wiele moich wspomnień wiąże się z osobą Michalaka: niektóre śmieszne, inne poważne lub smutne. Wyróżnił się zwłaszcza podczas spotkania rodzinnego w Zalesiu, kiedy świętowaliśmy urodziny (lub imieniny) Mamy w 1937 roku. Wszyscy już od poprzedniego dnia się zgromadziliśmy na działce z wyjątkiem

¹⁴ Daniel Michalak (ur. w 1935 r. w Warszawie – zm. w 2007 r. w Warszawie), brat cioteczny autora.

Mamy, która z uwagi na jakiś obowiązek miała przyjechać pociągiem następnego dnia rano. Jakież było jej zdziwienie, gdy wjeżdżając na stację, usłyszała marsz wojskowy, puszczone z gramofonu na korbę, niesionego na ramieniu przez Michalaka, i zobaczyła cały nasz klan z chorągiewkami, który ją witał z bukietami kwiatów. Rzadko widywałem ją tak zadowoloną.

Inne wspomnienie, tym razem tragiczne: w trakcie wykonywania swoich zadań, w obronie własnej, Michalak zabił przestępcę. Następujący po tym czas, obowiązkowe postępowanie administracyjne, podczas którego został zawieszony, osobiste rozterki moralne, chorobliwa ciekawość prasy, sąsiadów i gapiów, doprowadziły do tego, że ze swoją rodziną poszukał schronienia u nas. Trzeba było całej siły charakteru mojej matki, jej zapału i zaraźliwego optymizmu, żeby mógł przez to przejść. Jeszcze jedno wspomnienie w mojej pamięci: wiadomość o śmierci Marszałka Piłsudskiego w 1935 roku, i Michalak siedzący obok mojego ojca, obydwaj płakali rzewnymi łzami – to był jedyny raz, kiedy widziałem mojego ojca płaczącego.

To szczególne przywiązanie do Marszałka wynikało z przynależności mojego ojca, i prawdopodobnie Michalaka, do Szarych Legionów, utworzonych przez Piłsudskiego w 1914 roku w Galicji, będącej wówczas pod zaborem austriackim, które idąc na Warszawę doprowadziły do odzyskania przez Polskę niepodległości w listopadzie 1918 roku¹⁵. Te same Legiony, będące zalążkiem nowej armii polskiej, zwyciężyły armie sowieckie w trakcie bitwy warszawskiej w 1920 roku¹⁶, po której nastąpiło wyparcie okupanta ze wschodnich terenów Polski, znacznie poza linię zaproponowaną wcześniej, bez złych zresztą intencji, przez lorda Curzona¹⁷. Podczas tej wojny francuska

¹⁵ Legiony Polskie (1914–1918) – pierwsza polska formacja wojskowa w XX w. Skupiła w sobie oddziały Związku Strzeleckiego, Drużyny Strzeleckie, sekcje Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, skauting i inne organizacje paramilitarne działające przed I wojną światową, głównie na terenie zaboru austriackiego. Legiony powołane zostały 16 sierpnia 1914 r. przez Naczelny Komitet Narodowy jako próba ratowania wojskowej inicjatywy Józefa Piłsudskiego, czyli 1 Kompanii Kadrowej, która wyruszyła 3 sierpnia 1914 r. z krakowskich Oleandrów do Królestwa Polskiego. W listopadzie 1918 r. oficerowie i żołnierze Legionów dali początek Wojsku Polskiemu. Mundury legionistów były szare – stąd nazwa użyta przez autora wspomnień: „Szare Legiony”. Nie wiadomo, czy Władysław Uszyński służył w Legionach, natomiast pewny jest jego udział w tzw. Wyprawie Kijowskiej, czyli ofensywie Wojska Polskiego przeciwko Armii Czerwonej na Kijów, w kwietniu 1920 r. podczas wojny polsko-bolszewickiej.

¹⁶ Bitwa Warszawska, zw. Cudem nad Wisłą – bitwa stoczona na przedpolach Warszawy w dniach 13–25 sierpnia 1920 r. podczas wojny polsko-bolszewickiej; zadecydowała o zachowaniu niepodległości przez Polskę i przekreśliła plany rozprzestrzenienia komunizmu na Europę Zachodnią.

¹⁷ Linia Curzona – zaproponowana w lipcu 1920 r. na konferencji w Spa przez brytyjskiego ministra George’a Curzona linia podziału ziem między Polską a Rosją Radziecką wzdłuż linii rzek Niemen–Bug.